

Wojciech Gołabowski

Ostatni lot Joshuy Smitha

- Tylko nie Łabędzice! - w mrugającej kolorowymi przyciskami sterowni, wśród nocnej ciszy dał się słyszeć nagły jęk przerażenia. Ubrany w wymięty, zapocony podkoszulek łysawy grubas spoglądał na symulację kosmicznej okolicy. Nie ulegało wątpliwości. Mimo próśb i gróźb jego uszkodzony transportowiec dryfował w próżni, kierując się w stronę najbliższej stacji serwisowej mieszczącej się na orbicie Białej Głowy, oświetlanej mocnymi promieniami Deneba.

- **T**owar załadowany, proszę pana - młody chłopak w świeżym, bielutkim kombinezonie dużej, renomowanej firmy przewozowej stanął wyprostowany przed nowym szefem. Ten spojrział niedbale na zarys ogromnego cielska swej maszyny, po czym splunął w kąt. Maszyna - frachtowiec starej daty, ale wciąż na chodzie - miała wygląd dziwnie zbliżony do niego samego. I była tak samo usmolona.

- Klapy zabezpieczone?

- Tak jest, proszę pana.

- To zbieraj klamoty i się pakuj - splunął ponownie i obróciwszy się na pięcie poczłapał do sterówki. Pozwolił nieść się ruchomej bieżni nie zmuszając mięśni do dodatkowego marszu. Po chwili kapitański fotel niebezpiecznie zaskrzypiał pod jego ciężarem.

- No, jak tam? - mruknął spoglądając na ekran łączący go z kontrolą lotów. Łysa głowa urzędnika świeciła jasnym

blaskiem, wzbudzając chęć założenia okularów przeciwsłonecznych.

- Sprawdzam - odmruknęła głowa, po czym dodała spoglądając w kamerę - W porządku, jesteś szczelny. Sprawdź, czy masz już dane docelowe.

- Taaa, od wczoraj - machnął ręką w kierunku komputera pokładowego.

- No, to spadaj, Joshua Smicie - głowa mrugnęła na pożegnanie okiem. W końcu należała do kumpla. Poznanego kilka dni temu, ale jednak.

- Taaa, na razie - odparł, zamykając połączenie. - Młody! - ryknął w kierunku wejścia do sterówki. - Jesteś tam?

- Tak jest, proszę pana! - dobiegło z oddali.

- To rusz dupę. Startujemy!

- **I**le? - młodzian wytrzeszczając niebezpiecznie oczy spoglądał zaszokowany na szefa. Ten zarechotał i upił kolejny łyk z puszki.

- Czterdzieści siedem, synku. Na tyle się czuję.

- Ale tam...

- Tam upłynęło sto kilkadziesiąt, odkąd mnie najęli - ostatnie krople płynu skapnęły prosto w otwartą paszczę. Chyba nie były tym specjalnie zachwycone, bo kilka uciekło w bok, spływając po ogolonej niedbale brodzie. Puszka poszybowała w powietrzu, kończąc swój lot dokładnie po przeciwległej stronie mostka kapitańskiego. Odbiła się od kawałka ścianki i nie muskając nawet plastikowej obręczy

wpadła do otwartego pojemnika ustawionego poniżej - A wcześniej trochę włóczyłem się po świecie.

- Trochę...

- Dla mnie trochę. Dla większości ludzi więcej.

- Pięćset lat - chłopak tępym wzrokiem ciągnął za owłosioną rudo ręką wydobywającą nową puszkę.

- No, niecałe pięćset - beżowe oko mrugnęło z rozbawieniem. - Tak, wiem. Staruszek ze mnie. Czas na emeryturę - uśmiech nagle zniknął z tłustej twarzy. - Sęk w tym, że nie ma mi kto jej płacić! Ubezpieczałem się w kilku firmach - wszystkie zgodnie twierdzą, że dawno temu zmarłem! Oczywiście, moje pieniądze zostały wypłacone... Cholerni złodzieje...

- Pewnie ktoś pana ubezpieczył i zgarnął majątek - zagaił po chwili milczenia młodzian.

- Jak to: "ktoś"? - kapitan spod gęstych brwi spojrzał niechętnie na młodzieńca. Nadal miał na sobie nowiutki kombinezon. Gdzieniegdzie pośród bieli było już widać nie dające się usunąć plamki brudu.

- No... Normalnie. Ktoś z rodziny.

- Nie mam rodziny - warknął zniecierpliwiony.

- Może podrobił dane?

- A, pies go drapał - mruknął po chwili zastanowienia. Zaniepokojony ciężarem w ręce zerknął podejrzliwie w głąb puszek. Usatysfakcjonowany widokiem spojrzał na chłopaka. W oczach miał pytanie.

- Jak ktoś mógł mnie ubezpieczyć? Przecież potrzebny jest mój podpis.

- Gdzie?

- Na formularzu, a gdzieżby...

- Po co? Powiedziałem przecież: wystarczy ktoś z rodziny.

- I to bez mojej zgody?

- Bez.

- Ale się popieprzyło... - kolejna opróżniona puszka wylądowała w pojemniku. Ten ruch był opanowany do perfekcji. - Od jak dawna tak...?

- Nie wiem, proszę pana - nieznaczne wzruszenie ramion - ale chyba od kilkuset lat... - chwila zastanowienia. - Wiem! To było... Zaraz... Pamiętam z historii, że pierwsze takie ubezpieczenie na naszej planecie...

- Nieważne, synku - kapitan z trudem oderwał się od miękko wyściełanego fotela. - I nie mów mi więcej "proszę pana", bo mi to brzmi jakoś dziwnie obraźliwie...

- **S**ztuka? Nazywasz to sztuką? - grymas na twarzy grubasa mówił wiele.

- Sztuką jest to, co inni uważają za sztukę - wzruszył ramionami młodzian. Ramiona, jak i tors były zasłonięte czymś, co wyewoluowało z T-shirta. Kapitan wolał nie wiedzieć, jak na to teraz mówią.

- A tobie się to podoba?

- A jakie to ma znaczenie? Owszem, podoba mi się.

Fotel kapitański zaskrzypiał przy obrocie. Jego właściciel z powrotem spojrzął na monitor zastanawiając się nad ludzkimi gustami. Na monitorze widniał jeden z bardziej słynnych przykładów współczesnej sztuki przestrzennej.

- Za to nie zgadzam się z poglądami tych, co do sztuki zaliczają krymniki - dodał.

- Co zaliczają? - fotel powtórnie zaskrzypiał.

- Krymniki - chłopak zaczynał się przyzwyczajać, że szefowi wiele rzeczy trzeba tłumaczyć jak dziecku. Ale znając przyczynę, nie irytował się. - Pomniki wystawiane pośmiertnie słynnym ludziom.

- No jak to...? Przecież pomnik to rzeźba, a rzeźba to sztuka!

- Krymnik to nie rzeźba - uśmiech na młodej twarzy uświadomił kapitanowi, że chłopak lubi znajdować luki w jego wiedzy. Przestała mu się ta rozmowa podobać.

- A co? - warknął.

- No... krymnik! - odparł, ale widząc nadciągające nad siebie ciemne chmury dodał szybko. - Bierze się szacownego zmarłego, układa w jakiejś wymyślnej pozycji i zalewa w kryształ. Powstaje krymnik.

- Z ciała zmarłego? - zdziwienie wzięło górę nad odrazą. - To już ich nawet nie palą? Nie grzebią? Po prostu zalewają i stawiają na rynku? Ale się popieprzyło... - Młodzian biernie obserwował, jak grubas w spoconej archaicznej podkoszulce dźwignął się z fotela i mamrocząc pod nosem opuścił

sterówkę. Nie dopita puszka została na poręczy. Sięgnął po nią. Powąchał zawartość. Siorbnął.

Zwalczył chęć natychmiastowego wyplucia zawartości jamy ustnej. Łyknął ostrożnie. Potem mniej ostrożnie, ale więcej. Następnie wypił resztę i pewnym ruchem rzucił puszką w standardowym kierunku.

Stwierdziwszy, że rezultat posprząta kiedy indziej, poddał się ogarniającemu uczuciu błogostanu. Chwilę potem wydał sobie zezwolenie na krótką drzemkę o natychmiastowym terminie realizacji.

- **J**asne, że możesz wysyłać i odbierać wiadomości - kapitan wzruszył ramionami. - Jakbym inaczej komunikował się z firmą?

- A prywatnie?

- Tak samo. Jeśli masz z kim pisać, to rób to, póki żyje - trzymając pełną puszkę w ręku, grubas szybko objaśnił chłopakowi podstawy obsługi poczty. - Ja nie mam wielu znajomych, to i rzadko tego używam - łyknął napoju i roześmiał się. - Większość dawno kopnęła w kalendarz. A teraz ludzie już nie są tacy, jak kiedyś...

Młodziak wyobraził sobie społeczeństwo łysiejących grubasów w wiecznie spoconych podkoszulkach. Z trudem przełknął ślinę.

"Kochany synu!"

Czytając Twój list i mając wiele czasu na odpowiedź (przerwa w otrzymywaniu wiadomości od Ciebie wyniosła blisko trzy lata - mamy z ojcem nadzieję, że było to

spowodowane wyłącznie specyfiką transportowych lotów kosmicznych) zdecydowaliśmy się na zasięgnięcie dodatkowych informacji. Skoro Ty i tak naszą odpowiedź otrzymasz prawie natychmiast...

Okazało się, że Twoje podejrzania są słuszne. To jest TEN Joshua Smith.

Nie wiem, na ile dokładnie studiowałeś historię Białogłowy, więc streszczę Ci to, co opowiedzieli nam profesorowie Smith i Smitson (jak widzisz, Twoja informacja trafiła do właściwych osób). Joshua Smith urodził się na którejś z małych planet w odległym od nas układzie. Niezbyt garnął się do nauki, równie niechętnie do fizycznej roboty. Gdy tylko udało mu się wyrwać z ojczystej ziemi, zaczął włóczyć się po kosmosie. Najmował się głównie w firmach transportowych, zwiedzając kolejne układy.

Wtedy to trafił na Białogłowę. Poznał naszą legendarną PraBabkę i zakochał się w niej bez pamięci - tak przynajmniej twierdzą historycy. Osobiście myślę, że szukał kobiety na kilka nocy, a ta po prostu wpadła mu w ręce. Moja (i nie tylko) interpretacja ma jedną zaletę - wyjaśnia postawę ciągłej odmowy opłaty alimentów na rzecz pierwszej w historii Białogłowy pięcioraczków - jego pięciu synów.

Permanentna odmowa w połączeniu z narastaniem odsetek zaowocowały jednak przełomem w historii Białogłowy. Znalazł się wykształcony człowiek, który obrócił cały ten problem na korzyść planety. Jak wiesz doskonale, obecnie Białogłowa to jedna z bogatszych planet w tym świecie. Stało się to właśnie dzięki Joshua Smithowi. A dokładniej, bazując na jego alimentach i ubezpieczeniu (to akurat właśnie wtedy wprowadzono w życie znane Ci dobrze Ubezpieczenia Rodzinne). Pięciu synów Joshuy (których znasz jako Ojców

Pięciu Rodzin) przejęli widać kombinatorską żyłkę swego ojca, bo odtąd Białogłowa przestała być tylko cichym zakątkiem gdzieś na peryferiach Łabędzia. Mieli też coś nietypowego w genach, bo, jak wiesz, znaczna część populacji Białogłowy nosi nazwisko Smith, Smitson, Smithie, Smithy oraz Schmidt.

To tyle, jeśli idzie o historię. Dalszy ciąg to już obecna rzeczywistość.

Po wielu, naprawdę wielu rozmowach i debatach na najwyższym szczeblu zdecydowano, że, skoro pojawiła się okazja, należy z niej skorzystać. W załącznikach do tego listu przeczytasz, co możesz uczynić dla swej ojczystej planety.

Kochamy Cię, synu i czekamy na kolejne wiadomości.

Pamiętaj, tu czas płynie szybciej.

Jeśli zrobisz, o co Cię prosimy, wkrótce znów nas zobaczysz.

Twoi kochający rodzice - MaryAnna i JoshPablo Smith."

- Coś nie tak? - spytał niewinnie młodzian, ubrany w spoconą koszulkę z zatartym napisem. Niewielkie oczy i rozczochrane włosy zdradzały nagle przerwana rozkosz snu. Grubas łypnął gniewnie na wchodzącego na mostek współtowarzysza podróży i odwarknął.

- Wszystko nie tak. Szlag nas trafił i dryfujemy, powoli wyhamowując - upił łyk z nieodłącznej puszkii kontynuował.
- Moja łajba bez pytania wysłała w eter sygnał awaryjny. Odebrał go serwis z Białej Głowy. Skierowali na nas swój promień. Za kilkanaście dni tam dotrzemy.

- To chyba dobrze - uśmiechnął się chłopak.

- Gówno! - ryknął kapitan. - Sam bym to naprawił! Znam każdy zakamarek tej łajby!

- Ale jeśli to na zewnątrz... Przy takiej prędkości byłoby to chyba niemożliwe?

- Co ty wiesz o lotach... Same naziemne pierdoły - umilkł i pochylił się nad tablicą kontrolną. Chwilę studiował wskazania przyrządów i komunikaty, wydawał jakieś polecenia i wysłuchiwał odpowiedzi.

Chłopak stał zdezorientowany, zastanawiając się nad strategią dalszego postępowania. Wezwanie na mostek było poleceniem, którego zignorować nie mógł. Z drugiej jednak strony rozmowa kapitana z transportowcem prowadziła na niebezpieczne tory. Jego przełożony fragment po fragmencie odkrywał kulisy...

Zdecydował się na ciche opuszczenie mostka. Ale to nie okazało się takie proste.

- Dokąd? - usłyszał w drzwiach. Niechętnie odwrócił głowę. Z oczu, które były skierowane prosto na niego biła czysta nienawiść. - Pozwól no tu, synku...

Owłosiona ręka wskazała na fotel. Nie śmiał odmówić.

- Słuchaj no, synku... Coś mi tu śmierdzi jak cholera. Primo, komputer twierdzi, że coś tam jest uszkodzone. Tymczasem moje własne usprawnienia widokowe pozwalają mi stwierdzić, że to jeden wielki bullshit. Sekundo, mózg tej łajby powinien najpierw zawiadomić mnie, a potem dopiero serwis. Tak się nie stało. Tercjo, Biała Głowa wcale nie jest najbliższym punktem serwisowym, a kwadro, moja własna

łajba odmawia wykonywania poleceń swego kapitana! - podczas przemowy zbliżał się powolnym krokiem do chłopaka, aż niemal zawisł nad wtłoczonym w fotel ciałem. Potężne ramiona oparł na poręczach, uniemożliwiając zwierzynie wyrwanie się z pułapki. Z każdym słowem zwiększał moc swego głosu, prawie wykrzykując końcówkę. Umilkł teraz, przez co chwilowa cisza wydała się jeszcze bardziej złowroga niż poprzedzająca ją przemowa. I choć zdawała się trwać wieki, faktycznie szybko została przerwana stacatto pytań. - Co mi masz do powiedzenia? Coś ty zrobił? Kim jesteś naprawdę? Ile ci zapłacili? Kto ci dał rozkazy?

Thusta, łysawa głowa kapitana zbliżyła się niebezpiecznie do twarzy chłopaka. Wzrok tego potrafił się jedynie skoncentrować na ustach wykrzykujących kolejne zdania, pryskających na wszystkie strony drobnych kroplach i płynącym z głębi odorze. Czekał podświadomie na moment, w którym beżowe kły zatopią się w jego ciele, a z kącika ust wypłynie strumień śliny. Nagle stwierdził, że znów jest wolny. Grubas w spoconym podkoszulku powrócił do beznadziejnego przekonywania komputera o wyższości własnych komend nad wpisanym fabrycznie zestawie poleceń awaryjnych. Młodzian zsunął się z fotela i uciekł do kajuty.

- **O**twieraj, mówię! - kapitan wyglądał dość śmiesznie, stojąc pod zamkniętymi drzwiami kajuty i wrzeszcząc na całe gardło. Ale nie było komu tego widoku podziwiać. - To polecenie służbowe!

- Odmawiam! - dobiegło ze środka.

- Nic ci nie zrobię! - zapewnił Smith, chowając równocześnie prawą rękę za plecy. W dłoni ścisnął kawał grubego kabla.

- Odmawiam! - dobiegło ponownie. Grubas uświadomił sobie, że młodzik nie jest jednak taki głupi, jak sobie wyobrażał. Jakby tu...

- Mam tylko kilka pytań! - wrzasnął, przeklinając własne usprawnienia dźwiękoszczelne.

- Pytaj - usłyszał po chwili.

- Ile ci zapłacili?

- Nic.

Kapitana zatkało. Spodziewał się usłyszeć ofertę, którą mógłby bez trudu przebić własną propozycją. Milczał przetrawiając informację, aż wpadł na proste wyjaśnienie.

- Jesteś Łabędziem! - wyciągnął oskarżycielsko przed siebie lewą dłoń. W zamkniętej w niej puszcze zachlupotało. Przypomniawszy sobie o napoju i siorbnął głośno.

- Pochodzę z Białogłowy - przytaknął zza drzwi młodzian.

- Z Białej Głowy? - upewniał się kapitan.

- Z Białogłowy. Tak nazywamy naszą ojczyznę. Brzmi ładniej i... nieważne. Tak, jestem Łabędziem.

- Jak się naprawdę nazywasz?

- Tak, jak powiedziałem w porcie, kiedy przyniosłem moje papiery. - Tęga dłoń usiłowała podrapać się po łysiejącej głowie, ale trzymany w niej kabel skutecznie to utrudniał. Jej właściciel spojrzawszy na kabel krytycznym wzrokiem i odrzucił go w kąt.

- Czyli jak?

- PetroSimon Smith.

- Smith? - powtórzył niepewnie.

- Smith - dobiegło zza drzwi. - Jestem twoim pra pra potomkiem w prostej linii.

- **W**sadzą mnie do więzienia? - napój nie smakował tak dobrze, jak zwykle. W dodatku kończyły się zapasy - były teraz dzielone na dwie osoby, co nie było przewidywalne w dniu zakupów.

- Eee, tam, więzienie - młodzian machnął wolną od puszki ręką. - Stałeś się przecież tym, no, bohaterem narodowym - czknał lekko i szybko siorbnął kolejnego łyka.

Kapitan markotnie spoglądał w ekran, wyżej ceniąc własne doświadczenie niż młodzieńczą pewność siebie swego pra, pra... Na monitorze widać już było zbliżającą się stację orbitalną. Ciemniejsza plama na jasnym tle planety. Domyślał się już kolejnych etapów podróży. Stacja unieruchomi jego łajbę w chronionym silnym polu (zabezpieczającym odpływ powietrza, a także nieuczciwych klientów) doku, po czym pokładowy mózg otworzy wszystkie drzwi i bramy. Ot tak, aby nie można było się nigdzie schować. Przyjdą goryle, wepchną w inny pojazd i sprowadzą na powierzchnię Białej Głowy.

Ale co będzie potem?

Spoglądając na swego potomka, zaczął dostrzegać charakterystyczne rysy twarzy. Teraz wiedział, kogo mu ten młodzik przypomina. Jeśli to prawda, co zdążył mu przez ostatnie kilkanaście dni opowiedzieć...

Na planecie czekało podobno na niego co najmniej kilka tysięcy odziedziczonych po nim pokrętnych, kombinatorskich umysłów. Przypomniwał sobie słowa chłopaka o napędzającym gospodarkę Białej Głowy jego Ubezpieczeniu Rodzinnym. Jakoś dziwnie skojarzyło mu się to z ponoć coraz częściej stawianymi krymnikami.

To nie mogło skończyć się dobrze.